

Juchnowicz Piotr

ul. Mazowiecka 37D m6.

БІАВУСІОМ



Nazywam się Piotr Juchnowicz. Urodziłem się 23-go 10-go 1931-go roku we wsi Kłopoty - Stanisławy, gm. Siemiatycza. Do roku 1941-go mieszkałem w miejscu swojego urodzenia wraz z rodziną składającą się z pięciorga dzieci:

- Lucjan - mój najstarszy brat, rok urodzenia 1924-ty
- Janina - starsza siostra, urodzona w 1927-mym roku
- Piotr - to ja, jako trzeci,
- Cezary - mój młodszy brat, urodzony w 1934-tym roku
- Halina - najmłodsza siostra, urodzona w 1937-mym roku.

Do 1941-go roku, jak już powiedziałem, mieszkaliśmy w miejscu urodzenia. Tu skończyłem trzy klasy szkoły podstawowej.

W okresie wojny w roku 1941-ym, wiosną, został aresztowany ojciec. Osadzono go w więzieniu w Brześciu. Powodem aresztowania był niewątpliwie fakt, że posiadaliśmy gospodarstwo rolne o powierzchni sześćdziesięciu czterech hektarów. Tym samym uważani byliśmy za kułaków.

Aresztowano nas na dwa dni przed wybuchem wojny. Było to dokładnie 20-go czerwca 1941-go roku, w piątek. Do domu weszło trzech NKWD-ystów, uzbrojonych w KBK z bagnietem "na broń" i polecono nam pakować się. Powiedziano, że będziemy przewiezieni do innego województwa. Przeczuwaliśmy, jakie to może być "województwo". Spakowaliśmy to co mieliśmy w swoim gospodarstwie z żywności i ubrania osobiste. Załadowano nas na ciężarowy samochód, który stał pod domem. Było jeszcze "nad ranem", kiedy wieziono nas do stacji w Siemiatyczach.

Na stacji kolejowej w Siemiatyczach było już sporo takich jak my ludzi, przywiezionych. Czekaliśmy na nas podstawionych około dziesięciu wagonów towarowych. Wewnątrz tych wagonów były przygotowane prycze z bali drewnianych. Załadowano nas do wa-

gonów. W naszym wagonie ulokowano 35 osób. Był to wagon 15-tonowy. W podłodze wagonu, na środku, była wycięta dziura i wstawiona rura do załatwiania potrzeb fizjologicznych.

Załadunek trwał cały dzień tak, że pociąg ruszył dopiero pod wieczór. Z naszą rodziną byli ludzie z sąsiednich wsi:

- rodzina Moczulskich, składająca się z czterech osób
- rodzina Kłopotowskich z Kłopot Patrów,
- pani Klepacka z dwoma synami, też ze wsi Kłopoty Patry,

Byli tam jeszcze jacyś ludzie z sąsiednich wiosek, ale ich nazwisk obecnie sobie nie przypominam.

Na mijanych po drodze stacjach doczepiano dalsze wagony z takimi samymi aresztowanymi przez NKWD.

W niedzielę z rana byliśmy na stacji Baranowicze, na której też doczepiano dalsze wagony. W tym czasie już bombardowano Baranowicze i usłyszeliśmy, że wybuchła wojna i że Niemcy uderzyli na Związek Sowiecki. Byliśmy przekonani, że może nie zdążą nas przed postępującym frontem wywieźć, że może nas zostawią. Widzieliśmy, jak pośpiesznie ewakuowano rodziny oficerów rosyjskich z terenów polskich. Ładowano je do wagonów i jeździły one w głąb Rosji. Widzieliśmy też, jak wojska sowieckie podciągały pod linię frontu.

No, niestety, stało się inaczej. W każdym razie nasz transport starano się wieźć jak najszybciej. Przed frontem zdołano umknąć, przed Niemcami.

W drodze, która trwała trzy tygodnie, kilkakrotnie dano nam kaszę. Była, pamiętam, tak gęsta, że można było ją kroić nożem. Codziennie podawano wodę gotowaną. Dawano też chleb. Nie wiem ile było tego chleba. W każdym razie mieliśmy swoją wędlinę na szczęście i mieliśmy swoje wyżywienie z wyjątkiem chleba i wody. Bo nam potrawy gotowane dano jakieś kilka razy na okres

trzytygodniowej podróży. Wody też nam brakowało. Niejednokrotnie otrzymywaliśmy wodę do butelek, które spuszczaaliśmy przez zakratowane okna na zewnątrz wagonów. Działo się to oczywiście na stacjach. Okoliczni mieszkańcy nalewili nam tę wodę. Butelki z wodą wciągaliśmy do swoich wagonów.

W czasie podróży niejednokrotnie nadlatywały samoloty niemieckie, bombowe. Wówczas transport zatrzymywano gdzieś w polu. NKWD-yści zeskakiwali, kładli się gdzieś w ukryciu a transport stał odkryty na torach, zostawiony na pastwę losu. W każdym razie bombardowani nie byliśmy w czasie podróży. Nikt nie zginął i wszyscy dojechaliśmy szczęśliwie do Nowosybirska, gdzie przeładowano nas z pociągów na barki i na statki na rzece Ob. Tymi barkami dowieziono nas do powiatowego miasta Parabel, odległego o 500 km od Nowosybirska. Podróż ta trwała tydzień czasu.

Tu, w Parabelu, zaczęto nas dzielić. Nas powieziono rzeką o tej samej nazwie jeszcze dalej o osiemdziesiąt kilometrów do miejscowości Nowikowo. Dalej statki już nie kursowały. Tu, w Nowikowie nas rozładowano.

Nowikowo było miasteczkiem, w którym była siedziba gminy lub jakiegoś innego sielsowietu. Tu załadowano nas na furmanki, które podstawili sąsiednie kolchozy. Tymi furami zaczęto nas rozwozić. Nas wieziono do miejscowości odległej o 25 km. Po drodze zastała nas noc i musieliśmy nocować w lesie, w tajdze. Tę noc spędziliśmy przy rozpalonym ognisku i rankiem ruszyliśmy dalej.

Dowieziono nas do miejscowości Czarnouszka, odległej o 25 km od Nowikowa. Tam zawieziono nas kilka rodzin. Pamiętam, że byli z nami: Moczulscy, Klepacka, Tołwińska z Tołwina/chyba/ k. Siemiatycz. Zakwaterowano nas w pomieszczeniu o powierzchni ok. 12 m². Wyposażenie mieszkania stanowiła ruska "pieczka". Mieszkała tam matka z córką. Mąż tej pani w tym czasie był w wojsku. I nas tam

dokwaterowano sześć osób: nas pięcioro dzieci z mamą. Ciasnota była okropna. Gdy spaliśmy na podłodze to przejścia nie było. Domek był drewniany budowany z okrągłaków. Tu mieszkali ludzie zesłani w roku 1919-tym, po rewolucji bolszewickiej. Pochodzili zza Bajkału, kułacy uważani za przeciwników nowej władzy radzieckiej. Stanowili oni całą wieś, cały kołchoz.

Według ich opowiadań ich przywieziono rzeką do lasu, wyładowano na brzeg i powiedziano: tu wasz dom. Gospodarujcie i żyjcie sobie jak chcecie. Oni musieli karczować las i zacząć uprawę. Nie mieli żadnych narzędzi ani inwentarza, ponieważ ich przywieziono tak jak nas - z niewielkimi rzeczami. Klimat był dosyć ostry. To tam właśnie mówiono, że tu "tylko" dziewięć miesięcy zima, a potem to już tylko lato i lato. I faktycznie tak było. Przez trzy miesiące temperatura była na tyle względna, że mogła odbywać się wegetacja roślin. Rosło tam żyto i ziemniaki.

Oni musieli ten las karczować. Z okrągłaków budowano małe domki. Łopatami zaczęto uprawiać ziemię, żeby móc utrzymywać się. Latem mieli trochę grzybów. Tam rosła trawa o nazwie "kołba", podobna do naszego szczypioru. Zimą odżywiali się próchnem i trocinami. Większość z nich umarła z głodu. Wytrzymały tylko organizmy bardzo zdrowe.

Zesłano ich na lat dwadzieścia. Kiedy myśmy tam przyjechali, ten okres już minął, a oni nadal nie mogli swobodnie poruszać się. Nadal byli traktowani jako aresztowani. Aby móc przejść do innej wsi, musieli brać przepustkę od predsedatiela. Tak się nazywał przewodniczący kołchozu.

Po naszym przyjeździe wezwano głowy rodzin i kazano podpisać, że my też mamy tam przebywać przez okres dwudziestu lat. Ci, którzy odmawiali podpisu byli odłączani od swoich rodzin i zamykani do więzienia. Tu trzeba pamiętać, że były tam matki

z dziećmi, gdyż wcześniej ojców oddzielono od rodzin. Stało się to już na stacji Siemiatycze. Potem ich oddzielnie więziono i nawet chyba i rozstrzelano pod Hajnówką. Stało się to w czasie pierwszych dni wojny niemiecko-radzieckiej. Władze radzieckie po prostu nie zdążyły ewakuować aresztowanych. Jest to sprawa powszechnie znana. Opowiadał o tym jeden z tej grupy, który został tylko ranny i dlatego się uratował. Był to pan Krasowski z Siemiatycy. Ten pan zmarł nie tak dawno.

Przez parę miesięcy mieszkaliśmy we wspomnianym domku z matką i córką. Przez ten czas moja mama nachodziła miejscowe władze dopominając się przydziału kolaku. Córka naszej gospodyni była naszą obecnością też zdenerwowana i ciągle do nas "fukała". Byliśmy bowiem bardzo uciążliwymi gośćmi w ich tak małym mieszkaniu.

W wyniku tych zabiegów dano nam mieszkanie z polską rodziną. Właśnie z tymi Moczulskimi. Było to większe pomieszczenie, które wcześniej służyło za świetlicę. Posiadało wydzieloną część jako kuchenkę. W tej kuchence była również ruska "pieczka". Powierzchnia tego naszego nowego lokum wynosiła ok. 16-tu metrów kwadratowych, a ich rodzina składała się z czterech osób. Nas było sześcioro tak, że było nas tam dziesięć osób. Ale tu już mieliśmy trochę luzu, no i byliśmy między swoimi.

Kazano iść do pracy. Do pracy zapisał się mój starszy brat, który miał już siedemnaście lat i siostra, która miała lat czternaście. Do pracy chodzili do kołchozu. Latem pracowali przy zbiorach żyta, ziemniaków. Okresowo i ja chodziłem z mamą pomagać. Ponieważ tam siana nie było a krowom na zimę trzeba było zapewnić paszę, przeto ścinano z drzew gałęzie i je wiązano, suszono. One w czasie zimy stanowiły pokarm dla krów.

Określone tam były "trudodni", które zapisywano. Stanowiło to

podstawę do wyliczenia, ile kto zarobił. W tym czasie tym co pracowali płacono zaliczkowo po siedem kilogramów żyta tygodniowo, a na tych z rodziny, którzy nie pracowali - po trzy kilogramy tygodniowo. I to wszystko później bilansowano.

W końcu sezonu podliczono to co zarobiliśmy z tym co pobraliśmy. Bilans dla nas wypadł ujemny: "przebraliśmy" ponad dwieście kilogramów żyta. Tak więc na zimę zamiast coś dostać należało na dobry ład zwrócić to zboże, które przejedliśmy. Bo w naszej rodzinie do pracy nie bardzo było komu wychodzić, a do jedzenia było więcej osób. Należy tu dodać, że tam "trudodzie" wypadła około dwóch kilogramów żyta. Tam właściwie rosło tylko żyto i ziemniaki.

Zresztą uprawa roli odbywała się prymitywnie. Trochę końmi, a kopanie ziemi odbywało się łopatami. Tłumaczono nam, że na terenie, na którym niedawno rósł las, zastosowanie maszyn, ciągników nie było możliwe.

Na zimę zostaliśmy bez środków do życia. Mieliśmy jeszcze trochę własnych zapasów, zwłaszcza mąki, której starczyło nam na parę miesięcy. Starsza siostra w zimie brała na saneczki nasze ubrania i jechała /szła/ dwadzieścia pięć kilometrów do Nowikowa, aby te rzeczy wymienić na kartofle czy inne jakies produkty żywnościowe.

Nowikowo było w okolicy największą miejscowością. Tam mieszkało trochę ludzi wolnych, którzy z tej racji byli zamożniejsi. Dzięki takiej wymianie przetrwaliśmy jakoś tę zimę.

Wiosną nie mieliśmy nic do wymiany. Wiadomo było, że kto pójdzie do pracy, ten otrzyma dwieście gramów chleba. Starszy brat i siostra chodzili i dostawali ten chleb. Oni, żeby się jakoś poruszać, musieli coś zjeść. Nam nie zostawało nic. Właściwie nasze odżywianie stanowił szczaw koński, taki drobny, polny, komosa, i pokrzywy. Gotowaliśmy też ziele. Na garnek tej niby zupy dawa-

no łyżkę mąki. I to przez kilka miesięcy - chyba trzy - stanowiło nasze główne pożywienie.

W tym czasie zaczęły się choroby głównie z powodu braku pożywienia i zmartwień. Mama poczuła się bardzo źle. Zaczęła puchnąć. Szpital znajdował się za rzeką w Forabel. Do niego należało przepływać promem. Odprowadziłem mamę do szpitala. Została przyjęta w początkach sierpnia /chyba piątego/. Następnego dnia czuła się już lepiej chyba głównie dlatego, że miała lepsze pożywienie. Powiedziała mi, żeby przyjść do niej za dwa dni, przynieść jej łyżeczkę i jeszcze inne rzeczy do użytku. Poszedłem do mamy już następnego dnia. Nie chciano mnie wpuścić do szpitala. Wiedziałem, w którym pokoju mama przebywa. Ponieważ ta sala znajdowała się na parterze, zajrzałem do środka. Zauważyłem, że mama leży już nieprzytomna.

W październiku, gdy zaczęło powstawać wojsko polskie tworzone przez gen Sikorskiego zaczęliśmy zastanawiać się nad naszym położeniem a dokładnie nad jego zmianą. Wczesną wiosną 1942-go roku, był to marzec - jeszcze leżał śnieg - przewieźliśmy swoje rzeczy na saneczkach do większej miejscowości - do Nowikowa.

Tu do pracy poszli starszy brat i siostra. Na przednówku była taka sytuacja, że nie mieliśmy żadnych środków do życia i nie mieliśmy co sprzedawać. Ostatnie spodnie brat sprzedał wymieniając je na wiadro ziemniaków, które posadziliśmy, żeby coś mieć na jesieni.

Wracam do przerwanej wątku mamy. Nazajutrz poszliśmy z bratem do szpitala. Mama była nadal nieprzytomna i wkrótce zmarła. Orzeczenie lekarskie stwierdzało, że przyczyną śmierci było zapalenie jelit szczawiem. Ale przecież nie było nic innego do jedzenia. Szczaw rzeczywiście był wyjątkowo kwaśny. W rzeczywistości mama zmarła śmiercią głodową.

Pogrzeb urządziliśmy na miejscu. Trumna została zrobiona przez miejscowych stolarzy. Z drzewem nie było kłopotów, bo mieszkaliśmy w tajdze. Pochowaliśmy ją z udziałem polskich rodzin na cmentarzu rosyjskim. Oczywiście nie było tam żadnego kościoła ani też cerkwi. I tak tam została pochowana w tym Nowikowie ósmego sierpnia 1942-go roku.

My zostaliśmy zakwaterowani już do sierocińca z tym, że w tym czasie - a było to w okresie żniw - wożono zboże statkami i nie było osobowych miejsc do przetransportowania nas. Była nas tam grupa kilkanaściorga dzieci w takim położeniu, bo oprócz naszej piątki były i inne jeszcze dzieci, których matki nie mogły ich utrzymać. Tą grupką dzieci zapiekował się nauczyciel z Siemiatycz o nazwisku Rycerz. On był naszym przewodnikiem.

Wzięliśmy na plecy nasze rzeczy i trochę żywności, jeśli ktoś coś miał. Musieliśmy iść sto kilometrów do Parabeli, powiatowego miasta. Tam była już szersza rzeka i można było dostać się na statek. Te sto kilometrów szliśmy chyba dwa dni. Po drodze nocowaliśmy w tajdze. W Parabeli przesiedliśmy się na statek, którym dopłynęliśmy do Tomka. To miasto było naszym celem, ponieważ tu znajdował się polski sierociniec.

Zaprowadzono nas do tego sierocińca. Tu nas przebrano. Okazało się, że mamy świerzb, którego nabraliśmy się w łaźni. Zaczęto nas leczyć. Ubrania pochodziły z zapasów demobilizacyjnych armii amerykańskiej. Były one na nas nieco za duże. Dostaliśmy też buty i koszule. Z żywnością też nie było istotniejszych problemów, bo otrzymywaliśmy dostawy amerykańskie. Pamiętam, że w tym okresie brakowało soli i jedzenie bez soli było bardzo niesmaczne. Bo soli w ogóle nie było.

Dyrektorem tego ośrodka był Polak, prawdopodobnie oficer.

wyżywienie w całości mieliśmy z dostaw amerykańskich. Tak ubranie jak i wyżywienie z wyjątkiem chleba, który był na bieżąco dostarczany z Tomska. Nasz zakład znajdował się jakieś 3-4 kilometry od tego miasta. Chleb z miasta przynosiliśmy; mieszkaliśmy w barakach, w których ogrzewanie było piecowe. Żadna szkoła tam nie funkcjonowała. Drewno do opalania pomieszczeń przywoziliśmy sobie sami z tajgi, albo z odległego o trzy kilometry tartaku. Drewno woziliśmy saneczkami.

Kiedy gen. Anders wycofywał swoje wojska ze Związku Radzieckiego obiecywano nam zabranie i naszego sierocińca. Ale ostatecznie do tego nie doszło. W tym czasie aresztowano dotychczasowego dyrektora naszego sierocińca. Na jego miejsce dyrektorem został Żyd, który przyjechał do Związku Radzieckiego jakoś w tym czasie, kiedy wybuchła wojna niemiecko-radziecka. On sam przyjechał do Tomska.

Dotychczas wyżywienie otrzymywaliśmy z dostaw amerykańskich. Po jakimś czasie ze stanowiska został zwolniony Żyd i my dostaliśmy się pod bezpośredni zarząd rosyjski. Dyrektorką została Rosjanka. Kilka wychowawczyń też było Rosjankami. W tym też czasie przeniesiono nas z tych baraków do samego Tomska. Do dotychczas sierocińca był rozlokowany w dwóch miejscowościach. Obecnie byliśmy w jednym miejscu, w Tomsku. Tu zaczęła funkcjonować szkoła, zorganizowana na terenie sierocińca. Była to szkoła polska zorganizowana do klasy czwartej szkoły podstawowej.

Wówczas otrzymaliśmy umundurowanie i wyżywienie takie jak w sierocińcach rosyjskich. Dostawaliśmy czterysta gram chleba dziennie i trzy posiłki gotowane. Na śniadanie była kawa, na kolację jakaś zupa, a obiad normalnie z dwóch dań przeważnie.

W tym czasie zacząłem naukę w trzeciej klasie. Tam były trzy grupy dzieci. Najmłodsza siostra była w grupie najmłodszej. Two-

rzyły ją dzieci w wieku gdzieś do lat siedmiu. Młodszy brat był w grupie średniej /gdzieś tak do lat dziesięciu/. Ja byłem w grupie najstarszej.

Najstarsza grupa zajmowała się dostawą produktów. Przynosiliśmy chleb z piekarni, inne produkty żywnościowe, opał itp. W tej grupie były dzieci a właściwie młodzież w wieku do czternastu - szesnastu lat.

Najstarsza siostra pracowała w kuchni. Była w tym sierocińcu kucharką.

W 1943-cim roku najstarszy brat został powołany do wojska. Poszedł do Pierwszej Armii Wojska Polskiego. Trafiał do trzeciej dywizji im. E. Plater. I tak tam, w Tomsku, przy ulicy Róży Luksemburg byliśmy w sierocińcu do maja 1944-go roku. Umieszczono nas tam w takich baraczkach, małych budynkach, gdzie kiedyś był sierociniec rosyjski. Tam klimat nam był bardzo łagodny. Zimy prawie nie było. Były już prawie owoce. Pamiętam taki moment. Było to pod koniec maja, kiedy to jechaliśmy do tego Krasnojarskiego Kraju. Tam, w końcu maja, owoce były jeszcze zielone. Jeden z kolegów najadł się tych owoców i dostał skrętu kiszeży. Pamiętam, jak on bardzo się męczył. Ale jakoś z tego wyszedł i wyzdrowiał.

Tam też była zorganizowana szkoła do czterech klas szkoły podstawowej. Była to szkoła polska. Nauczycielami byli Polacy, którzy byli wywiezieni razem z nami. Przypominam sobie, że moją nauczycielką była pani Szmidt. Była ona matką dwóch, młodszych ode mnie synów. Jak się od nich dowiedziałem obecnie w Polsce, to ich matka przed wojną była odznaczona Orderem Virtuti Militari za walkę z bolszewikami. Jeden z jej synów był zastępcą dyrektora "Polkoloru" w Białymstoku.

Tam dostaliśmy kilka hektarów ziemi do uprawy. Uprawiała tę

ziemię najstarsza grupa wychowanków. Do tego celu mieliśmy dwa konie. Na tych terenach, na których teraz przebywaliśmy, przez jakiś, dłuższy chyba czas stał front w czasie wojny niemiecko - radzieckiej. Było tam bardzo dużo pocisków. Pamiętam, że to nasze gospodarstwo było położone w odległości kilku kilometrów od stacji Afipskiej. Tam właśnie dojeżdżaliśmy uprawiać ziemię. Dojeżdżaliśmy końmi.

W międzyczasie, jak to młodych ludzi, zainteresowały nas te pociski. Niekiedy znajdowaliśmy pociski dużych rozmiarów, niewypały, które po prostu rozbieraliśmy. Trzeba przyznać, że to była bardzo niebezpieczna praca. Nam się jakoś tak szczęśliwie udawało, że nikt nie uległ wypadkowi.

Rozbieraliśmy duże pociski, z których wydostawaliśmy proch. Wykorzystywaliśmy go później do strzelania z samopalmów. Czasem duże pociski ładowaliśmy na furę i końmi przewoziliśmy nad rzekę. Tu pociski wkładaliśmy do ognia, a sami chowaliśmy się. Pamiętam, że urządzaliśmy takie zabawy bardzo niebezpieczne. Liczyliśmy po wybuchu, ile pocisków zostało w ziemi po tym pocisku. Jakoś szczęśliwie, że nikt nie uległ wypadkowi.

W tym czasie chodziłem do czwartej klasy szkoły podstawowej, która, jak wspomniakem, była na terenie sierocińca. Nauczyliśmy się wszystkich przedmiotów przewidzianych programem nauczania z tym jednak, że dodatkowo mieliśmy jeszcze jeden przedmiot historia Rosji, geografia i język rosyjski. Od piątej klasy należało iść do szkoły rosyjskiej. I w tym czasie jeden z kolegów z Kleszczel, nazywał się Bołtrolis, popadł w tarapaty.

Otóż wyżywienie w sierocińcu mieliśmy dosyć dobre. Było trochę owoców. Z tym jednak, że było go trochę za mało. On, Bołtrolis, sprzedał kilka kocy stanowiących własność sierocińca, sprzedał okolicznym mieszkańcom. Wymienił je na żywność. Te koce zostały

rozpoznane jako własność sierocińca przez sierocińca. Bowiem któraś z mieszkanek uszyła sobie płaszcz z tych kocy i sprawa się wydała. Przyprawiono tę panią do sierocińca. Ona wskazała osobę, od której ona ten koc kupiła. Dyrektorka napiętnowała Bołtrulisa. Obiecała, że go wyśle do domu poprawczego.

Bołtrulis uciekł wkrótce do rodzin polskich, które zamieszkiwały okolice. Byli to Polacy przywiezieni z Syberii w okolice Krasnodaru. Przez jakiś czas tam się tułał. Wreszcie ktoś mu doradził, żeby on udał się do Polski. W tym bowiem czasie nasze tereny już były wyzwolone spod okupacji niemieckiej. I on wyjechał z Krasnodaru do Polski. We Lwowie dostał odpowiednie dokumenty i wrócił do Polski. Było to wiosną 1945-go roku. Z Polski napisał do nas list, w którym opisał, jakim to sposobem on dostał się do kraju.

Po jakimś czasie grupa kolegów zorganizowała się i w taki sposób też wyjechała. I im też szczęśliwie wszystko tak się ułożyło, że i oni też dojechali do Polski.

W trzeciej grupie ja z trzema jeszcze kolegami postanowiliśmy wyruszyć do Polski na takich samych zasadach. Już wyszliśmy na stację w Afipskiej i czekaliśmy na pociąg. Ale w tym czasie dowiedziała się o naszym przedsięwzięciu Polka, która zastępowała dyrektorkę. Samej dyrektorki akurat nie było, bowiem wyjechała na odprawę do Krasnodaru. Zastępczyni dowiedziała się, że my zamierzamy wyjechać. Przybiegła na stację, odnalazła nas i prosiła, żebyśmy wrócili, bo w przeciwnym razie ona będzie miała nieprzyjemności z tego powodu. Nakłaniała nas, żebyśmy zrezygnowali z tej podróży.

Ulegliśmy jej namowom i wróciliśmy tym bardziej, że obiecała nam, że nie powie o całym zajściu dyrektorce.

Albo ona albo ktoś inny powiedział jednak o tym dyrektorce.

Powstał z tego powodu niemały szum. Uświadamiano nas, że tak robić nie należy, że nie wypada, że Związek Radziecki tak się nami opiekuje, a my jesteśmy niewdzięczni. W każdym razie zabrano nam ubrania i zostawiono tylko w kąpielówkach. Ponieważ klimat tam był ciepły to takie posunięcie było możliwe. Tym samym nie mogliśmy wyjechać wcześniej, aż dostaniemy ubrania.

Rozpoczął się rok szkolny w 1945-tym roku. Po skończeniu czwartej klasy należało iść do rosyjskiej szkoły, do piątej klasy. Gdy wydano nam ubrania, zdecydowaliśmy się.

Siódmego września trzech koledzy i ja wyruszyliśmy jednak w podróż do Polski. Wsiadliśmy do pociągu w Afipskiej do Krasnodaru. Tam, w Krasnodarze z kolei wsiadliśmy do pociągu do Rostowa. Jechaliśmy oczywiście na gapę, bo biletów tam nie można było kupić. Do tego niezbędna była przepustka no i oczywiście pieniądze. Miałem trochę tych rubli, bo siostra trochę pracowała. Jechaliśmy oczywiście na stopniach wagonu. Bo tam było tak zorganizowane, że w każdym pociągu był gospodarz każdego wagonu. On wpuszczał podróżnych do wagonu za biletami. Natomiast ci, którzy biletów nie mieli jechali na stopniach. Była to oczywiście podróż nielegalna.

Pierwszej nocy jechaliśmy na zderzakach na złączeniu wagonów. Staliśmy we dwóch. Byłem z kolegą z Hajnówki. Nazywał się Kowalczyk Stanisław. On już nie żyje. Staliśmy tam we dwóch na tym przejściu. W pewnym momencie otworzyły się drzwi i wszedł kontroler biletów. Biletów oczywiście nie mieliśmy. Kolega wyjaśnił kontrolerowi, kim jesteśmy i dokąd jedziemy, że jedziemy do Polski. Kontroler uśmiechnął się i powiedział: "odjechałeś dopiero kilkadziesiąt kilometrów a już cię złapalem, jak ty zamierzasz dojechać do tej Polski".

W tym czasie, gdy kontroler rozmawiał z kolegą, ja niespostrze-

żenie przeszedłem na stopnie wagonu.

Kontroler okazał się ludzkim człowiekiem i puścił kolegę. Pjjechaliśmy dalej. W dzień zauważyliśmy, że pociąg miał drużynę składającą się z milicji i NKWD. Ich zadaniem było zdejmowanie podróżnych jadących na stopniach wagonów. Było bowiem powszechnie wiadomo, że jadący na stopniach podróżują nielegalnie. Tych ludzi zdejmowano i po prostu aresztowano. Aby nie dać się aresztować, zeskakiwaliśmy ze stopni wagonów przy wjeździe na stację, kiedy pociąg już zaczynał zwalniać. Oczywiście należało to zrobić wcześniej, zanim zrobią to milicjanci, żeby nie wpaść w ich ręce.

W czasie postoju pociągu na stacji spacerowaliśmy po peronie. Kiedy pociąg ruszał i oni wsiadali, myśmy też, gdy pociąg był już w biegu, wskakiwaliśmy na stopnie. I tak jechaliśmy dalej.

Był to pociąg pośpieszny, który jechał z Krasnodaru przez Rostów do Charkowa. W następną noc byliśmy już bardzo zmęczeni. Już drugą noc nie spaliśmy a i jedzenia mieliśmy tylko trochę. Jedzenia wzięliśmy tylko trochę, a przy zdenerwowaniu nie dało się jeść. Zresztą nie było czasu na dworcach ani w czasie jazdy. Chcieliśmy jak najszybciej dotrzeć do Lwowa. Zmęczenie coraz bardziej dawało się nam we znaki.

W pewnej chwili wypatrzyliśmy, że jeden z wagonów ma ławeczkę biegnącą przez całą długość wagonu i że do przedsiionka była wybita szyba. Postanowiliśmy, że w biegu wskoczymy przez tę wybitą szybę do przedsiionka. I tak też zrobiliśmy. Wprawdzie był to pociąg pośpieszny, a tym samym zatrzymywał się rzadko, ale przez jakieś dwadzieścia - trzydzieści minut dostaliśmy się do tego przedsiionka. Było ciemno i myśmy się tam pokładki. Po chwili weszła tam gospodyni tego wagonu. Miała latarkę, zauważyła nas

i podniosła krzyk. Pytała, skąd myśny się wzięli w przedziale, który był przecież zamknięty na klucz. Pokazaliśmy jej, że weszliśmy przez okno. Cna nas zwymyślała, że przez okno wchodzi tylko złodzieje. Wytłumaczyliśmy jej, że nie jesteśmy złodziejami tylko takim sposobem wracamy do Polski.

Uwierzyła nam. Stwierdziła, że tu nie możemy jechać i że zaprowadzi nas w bezpieczne miejsce. I zaprowadziła nas do takiego pomieszczenia, w którym znajdował się piec. Powierzchni tam było około półtora metra kwadratowego, a piec był żelazny, podgrzewany w czasie podróży przy niskich temperaturach. Ulokowała tam naszą całą czwórkę. Po cienku pokładliśmy się jeden na drugim na tym piecu.

Rano, gdy wstaliśmy, bolały nas wszystkie kości i nie było gdzie się ruszyć. Kto mógł, to zjadł z tego, co jeszcze mieliśmy. Postanowiliśmy wyjść z tego pomieszczenia na stopnie. Byliśmy nieco zaspani. Stałem z kolegą na stopniach. Nie zeskoczyliśmy w porę i podszedł do nas milicjant. Zwrócił się do kolegi z Hanjówki - Stanisława Kowalczyka - i zapytał o bilet. Kolega odpowiedział, że nie ma. Natychmiast go aresztował i zabrał.

Na następnym postoju podszedł do mnie, ponieważ tym razem ja spóźniłem się ze skokiem. Zwrócił się do mnie ze słowami: ty znów tu? Domyśliłem się o co chodzi: byliśmy ubrani z kolegą w jednakowe drelichy i on nas pomylił. Domyśliłem się, że mój kolega najprawdopodobniej uciekł. Odpowiedziałem więc, że ja tu byłem stale. Upewnił się, że jestem Polakiem i zaprowadził mnie do wagonu, w którym był ich dowódca.

Pokazałem mu świadectwo szkolne i tłumaczyłem - kłamiąc oczywiście - że podróżowałem razem z rodziną i że na skutek nieuwagi zostałem na dworcu, ponieważ wyszedłem po zakupy. Mój pociąg odjechał beze mnie. Teraz staram się dopędzić swoją ro-

dzinę. On to świadectwo położył na buirku i powiedział do mnie "sadiś", żebym ja usiadł. Zamierzył się na mnie ręką i stwierdził, że zaraz dostanę lanie. Usiadłem spokojnie. Tam spotkałem się z kolegą, którego wcześniej przyprowadzono. Byliśmy w tym czasie już gdzieś koło Kijowa. Była to już trzecia doba naszej podróży. Zapamiętałem stację "Żabinka".

Na tej stacji wysadzono nas wszystkich zatrzymanych, a było nas chyba ze czterdzieści osób. Mieliśmy zamiar uciec w tym czasie, gdy nas będą wyprowadzali z wagonów. Ale na to nie było szans. Było tam nawet wojsko, chyba kilkunastu żołnierzy.

Zaczęto nas badać. Kiedy doszło do mnie, pokazałem świadectwo, na którym były dobre stopnie. Zapytano mnie, gdzie ty, "otliczony uczeń" jedziesz. Powtórzyłem swoją, kłamliwą bajeczkę, że zgubiłem się przez nieuwagę na stacji, mój eszelon odjechał i ja teraz staram się dopędzić rodzinę. Nie kazano mi płacić, oddano świadectwo i kazano jechać dalej.

Powiedziano mi nawet, o której godzinie jest najbliższy pociąg do Kijowa. Już na niego nawet nie czekaliśmy. Wskoczyliśmy do pociągu towarowego, na węgiel, i tym pociągiem dojechaliśmy do Kijowa.

Tu spotkaliśmy jednego z naszych kolegów, którego też zatrzymano, ale na innej stacji. On miał parę rubli to ściągnięto z niego mandat.

W Kijowie przesiedliśmy się do pociągu, który jechał do Lwowa. Jechaliśmy oczywiście też na stopniach wagonów. Po trzech dobach dotarliśmy do Lwowa.

We Lwowie dowiedzieliśmy się, że jest szykowany transport do Polski i że ma odjechać jeszcze dziś w noc. Staraliśmy się dotrzeć do kierownika tego transportu. Kierownik najwyraźniej bał się nas. Nie znał nas i obawiał się jakiegoś podstępu. Transport odjechał bez nas. Powiedział nam, że my będziemy mogli od-

jechać dopiero za kilka dni. Tak się też i stało. Po trzech dniach, dano nam trochę wyżywienia. Mieszkaliśmy na dworcu w jakimś wagonie.

Po trzech dniach dano nam dokumenty uprawniające do przekroczenia granicy. Granicę przekroczyliśmy w Medyce. Tam nakazano nam jechać do Krakowa. Tam bowiem, jak nam powiedziano, znajdował się główny punkt repatriacyjny.

W Krakowie znaleźliśmy się gdzieś w okolicach siedemnastego września. Tu dano nam bilety. Ja wziąłem do Białegostoku, bo tu miałem rodzinę. Mój ojciec już wrócił z więzienia. Siedział w Brześciu i został wyzwolony w czasie uderzenia wojsk niemieckich na Związek Radziecki w czerwcu 1941-go roku. Rosjanie nie zdążyli ewakuować więzienia.

Pamiętam, że w Krakowie nie chciano mi dać biletu do Siemiatycz, bo to już "za Bugiem". Dano mi ostatecznie bilet do Franaowa. Otrzymałem też dwieście złotych zapomogi. Z kolegą z Hajnówki przyjechaliśmy do rodziny w okolice Siemiatycz. Było to dokładnie siedemnastego września 1945-go roku.

W domu zastałem ojca. Okazało się, że w tym czasie, gdy my byliśmy w Rosji, ojciec był w obozie niemieckim. Potem nie mógł mieszkać na swoim. Przez jakiś czas był u brata w okolicach Ciechanowca, w Perlejewie.

Poszliśmy do szkoły. Ja poszedłem do klasy siódmej, a mój kolega, Kowalczyk, poszedł do gimnazjum. Do Bożego Narodzenia chodziłem - w Perlejewie - do szkoły. Tam był wysoki poziom nauczania zwłaszcza z matematyki. Od Bożego Narodzenia poszedłem do gimnazjum do Siemiatycz, do klasy pierwszej. Tam uczyłem się w latach 1945 - 1949 i szkołę ukończyłem. Uzyskałem tzw. "małą maturę".

Następnie przenieśliśmy się na dalszą naukę do Białegostoku do liceum budowlanego. Był to rok 1949-ty. To Liceum Budowlane u-

kończyłem w roku 1952-gin. W czasie nauki mieszkałem u krewnych. Była to rodzina bezdzietna, zamieszkała przy ulicy Artyleryjskiej.

Chcę jeszcze wspomnieć, że w roku 1948-ym nasze gospodarstwo zostało przejęte na Skarb Państwa. Podlegało ono przepisom dotyczącym reformy rolnej, ponieważ areał przekraczał pięćdziesiąt hektarów. Dokładnie było tam 64 ha oraz 7 ha lasu.

Zostaliśmy właściwie bez niczego. Ojciec też właściwie nic nie miał. Po przyjeździe dostaliśmy z Unry konia. Od brata ojciec dostał krowę. Bo wszystko nam zabrano.

W 1949-ym roku siostra wyszła za mąż do wsi Łachówka, na gospodarstwo rolne. Tam też poszedł ojciec. Młodszy brat poszedł uczyć się do szkoły mechanicznej do Elbląga. Natomiast najmłodsza siostra Hanka uczyła się w szkole podstawowej w Kłopotach Bujnach.

Brat, który poszedł do wojska w Rosji, przestał do nas pisać z frontu. Wytapiliśmy do Związku Patriotów Polskich do Moskwy z pytaniem, co się dzieje z bratem. Odpisano, że brat zginął w walce o wolną Polskę. Natomiast jego kolega, oficer, Kalicki z tej samej dywizji napisał, że brat został zabity i pochowany na Saskiej Kępie. Było to w roku 1944-ym.

Osobiście szukałem jego mogiły na Saskiej Kępie. Ale w roku 1945-ym dostaliśmy list od brata, który niby miał zginąć. List przyszedł z Anglii. Okazało się, że brat był wysłany na pomoc powstańcom. Z pomocą wysłano dwa bataliony, które zostały doszczętnie rozbite. Kilka osób, najczęściej rannych zostało wziętych do niewoli. Wśród nich był i mój brat, ranny stosunkowo lekko w nogę i rękę. Był w niewoli niemieckiej, a następnie we Włoszech dostał się do armii Andersa. Został wyzwolony z obozu przez armie alianckie. Był w wojsku gen. Andersa z tym jednak, że udziału w wal-

kach już nie brał. W tym czasie on podjął już pracę na terenie Anglii i trochę nam pomagał. Przysyłał nam paczki z ubraniami i z żywnością. Trochę pomagała nam rodzina.

Po skończeniu szkoły otrzymałem wiadomość od kolegi a właściwie krewnego z Anglii, że brat zachorował. Jest chory psychicznie i przebywa w szpitalu w Anglii. Korespondencja przerwała się, bo brat nie chciał, a właściwie nie mógł pisać.

Dopiero w roku 1950-tym udało mi się ściągnąć go do Polski. Dostaliśmy dobre leki. Wcześniej napisał, że bardzo tęskni do nas i do kraju. Po jakimś czasie nastąpił silny nawrót choroby. Obecnie brat przebywa w domu specjalnym w Szepęgawsku koło Starogardu Gdańskiego.

Po ukończeniu szkoły podjąłem pracę zgodnie z nakazem pracy w Białostockim Zjednoczeniu Budownictwa. Pracowałem tu przez rok. W następnym, 1953-cim roku, zostałem powołany do wojska służby czynnej. Odbylem dwuletnią służbę wojskową w Orzyszu w artylerii. Sprawowałem się dobrze. Proponowano mi pozostanie w wojsku jako oficera rezerwy, na co się nie zgodziłem. Motywowałem to stanem zdrowia. W rzeczywistości przeważały inne względy. Mieliśmy dużo inspekcji. Odbывały się one często przez rosyjskich oficerów / z ich udziałem/. Byli to zwykle wyżsi oficerowie, których rozpoznawałem po akcencie. Dlatego głównie zrezygnowałem.

Proponowano mi pójście na WAT /Wojskową Akademię Techniczną/. Miałem bowiem pierwszą lokatę w strzelaniu artyleryjskim. Służyłem w moździerzach. Skończyłem szkołę podoficerską. Mam specjalność topograficzną.

Po wojsku wróciłem do tego samego przedsiębiorstwa i tu pracowałem do roku 1971-go. Wówczas to przeszedłem do Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji w Białymstoku. Tu prowadziłem grupę budowlaną. Wykonywaliśmy drobne budowy, remonty

i inwestycje. Między innymi przebudowywałem ten budynek ~~inwesty-~~ ^{admini-}stracyjny, w którym obecnie mieści się wodociąg, przy ulicy Młynowej. Obecnie pracuję na stanowisku inspektora nadzoru przy budowie oczyszczalni ścieków w Fastach. Budowa tego obiektu trwa już wiele lat. Od trzech lat pełnię tę funkcję.

W przyszłym roku wybieram się na emeryturę, po otrzymaniu praw kombatanckich.

Trzeba zaznaczyć, że tam gdzie byliśmy wywiezieni, miejscowa ludność była do nas przychylnie usposobiona. Częstoowano nas tym, czym mogli. Najczęściej były to ziemniaki w mundurkach i czaj. W rzeczywistości czaj to była gotowana woda z łyżką mleka. I tym nas częstoowano. Było tak dlatego, że ci ludzie sami nic nie mieli. Inna rzecz, że tam niektórzy mieli swoje krowy i mieli to mleko. Latem zbieraliśmy grzyby. Oni tam zbierali i solili takie grzyby, których my nie znaleźliśmy i nie zbieraliśmy, bo nie wiedzieliśmy, że one nadają się do jedzenia.

W tamtejszych lasach były okropne komary. Idąc na grzyby trzeba było nakładać na twarz siatki ochronne. Były to gęste siatki, nasączone dziegciem. Komary atakowały zawzięcie, bo teren był bagnisty.

Z drewnem na opał nie mieliśmy żadnych trudności. Woziliśmy je nawet w zimie na saneczkach.

Temperatura zimą dochodziła do 50-ciu stopni. Zima trwała, jak mówi przysłowie, do dziewięciu miesięcy. Bo w maju to jeszcze był śnieg, a w sierpniu, pod koniec miesiąca już zaczynał padać następny. Z tym że tam nie było - jak u nas wahań. Tam jak puściły lody, to już nie było przymrozków i śnieg topił się bardzo szybko. W tym czasie było tam bardzo dużo wody, bo pokrywa śnieżna wynosiła około metra.

Pod względem wegetacji ziemia była dobra, urodzajna. Żyto i ziem-

niaki rosły tam bardzo dobrze. Uprawa była prymitywna.

Jesienią, pamiętam, chodziliśmy zbierać kłosy, po żniwach. Przy tym zapamiętałem pewien moment. Chodziliśmy na ten proceder jakieś dziesięć kilometrów. Bowiem bliżej już kłosów nie było. Pewnego razu postanowiliśmy nocować w tajdze dlatego, żeby rano, jak najwcześniej przystąpić do zbierania tych kłosów i nabierać ich jak najwięcej. Nocą przyszedł bardzo ulewny deszcz i nas solidnie zmoczył. Musieliśmy nocą wracać z tego lasu przemoknięci. I było tak, że następnego dnia już nie mogliśmy zostać na to zbieranie kłosów.

Podobnie też było po wykopaniu ziemniaków. Też chodziliśmy na zbieranie ziemniaków po zakończeniu wykopiek przez kołchoz.

W sprawie religii należy stwierdzić, że tam nie było żadnych kościołów ani cerkwi. Modliliśmy się w domu. Tamtejsze grupy Polaków składały się z kilku lub kilkunastu osób w jednej miejscowości. Niejednokrotnie zbieraliśmy się na nabożeństwa majowe czy jakieś inne. Tam nie było nad nami specjalnego NKWD-ystry. Byliśmy w lasach, w których komunikacja była utrudniona. Można było przejść pieszo tylko. Odległości między miejscowościami wynosiły po kilkanaście kilometrów. Żyto, które nam dawano też musieliśmy nieść do młyna odległego od nas o pięć kilometrów. Tam dopiero można było to zemleć.

Z mąki gotowaliśmy potrawę zwaną mamałygą. Była to zagotowana woda z mąką żytnią. Piekliśmy placki z mąki lub ziemniaków, nawet z łupinami, gdy ziemniaków było mało.

W sprawie obywatelstwa nic nie mogę powiedzieć, bo byliśmy dziećmi i nie mieliśmy dokumentów. Mama zmarła w 1942-gim roku i ten problem nie jest mi bliżej znany.

Pani Klepacka ze swoimi dziećmi też trafiła do sierocińca. Tam pracowała. Z jej dziećmi byłem razem w sierocińcu. Była też z nami p. Muczulska. Notował. S. Sianko